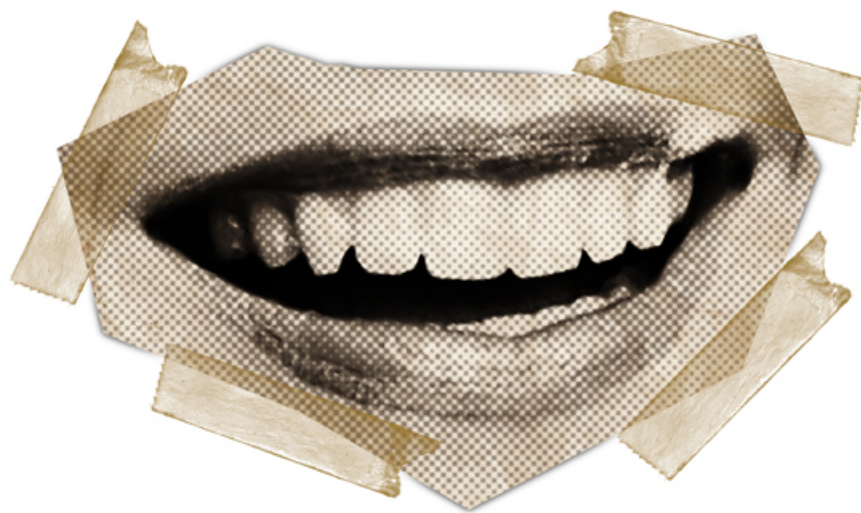


TOMASZ BARTOSIEWICZ

UTOPIA



Tytuł
UTOPIA

Autor
TOMASZ BARTOSIEWICZ

ISBN 978-83-941933-0-0

Wydanie I

Wydawca
Wydanie własne Tomasz Bartosiewicz

© Tomasz Bartosiewicz. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Licencja na potrzeby portalu Wydaje.pl

Drzwi baru uchyliły się lekko, wpuszczając do środka wilgotny powiew nocnego, listopadowego powietrza. Pod wielkim szyldem przedstawiającym połowę kozła i napis „Pod przyciętym Capem” stanęła postać w długim, czarnym, skórzanym płaszczu, który swoje najlepsze lata miał już za sobą. Przez chwilę rozglądała się po niemal pustej sali, po czym ruszyła poprzez tytoniowy dym, półmrok i opary alkoholu wprost do niskiego, drewnianego baru.

- Pan sobie życzy? – mruknął równie niewysoki barman. Miał posturę typowego szurka, chude ramionka przyczepione do nieco garbatego, cherlawego tułowia. Jego pociągła twarz była uwieńczona od dołu lekkim zarostem, od góry błyszczącą łysiną, zaś wszędzie pomiędzy była poorana bruzdami jak pole na wiosnę. Jego prawe oko było brązowe, lewe zaś jasnoniebieskie, niemal białe. Spoglądał spode łba przekrzywiając się przy tym w prawo.

Postać bez słowa przesunęła się pół metra w lewo stając tak na wprost brązowej źrenicy.

- A niech mnie kule! Ingram! – zaskrzeczał barman szczerząc rzadkie zęby – Toż to nikt inny jak Gregor Ingram mój ulubiony klient!

- Wybacz Duncce, zapomniałem, że źle widzisz na tamto oko – odpowiedział opierając przy tym łokcie o blat baru i siląc się na uśmiech. Współczuł Duncce’owi wyglądu, choć sam nie reprezentował się wiele lepiej. Czterdziestoletni facet o ciemnych oczach, z postępującą siwizną, która przyprószyła mu końcówki spłowiałych, brązowych włosów. Twarzą, która już nosiła mocne oznaki zmęczenia życiem i kilka niewielkich blizn na prawym policzku, które na pewno nie powstały w czasie nieuważnego golenia i, o których nie lubił wspominać. No i jeszcze była ręka...

- To co zwykle? – spytał Duncce i zdawało się, że patrzy raczej gdzieś za prawym uchem swojego rozmówcy niż na jego twarz.

- Podwójny dziś na start.

- Już się robi! – odskrzeknął odwracając się do przeszklonej półki zastawionej od góry do dołu szklankami, kieliszkami i filiżankami.

- Duncce... - mruknął Gregor pół na pół z irytacją i zrezygnowaniem – Poproszę w MOJEJ szklance.

- Oczywiście – odpowiedział barman teatralnie pukając się w czoło, po czym z szafeczki pod barem wyciągnął wysoką, grubą szklankę wykonaną z hartowanego szkła. Następnie nalał do niej po jednej części dzinu, bimbru i swojego Tajemnego Składnika, którego składu nigdy nikomu nie zdradził. Podsunął mu szklaneczkę gdy ta wypełniła się niemal po brzegi jasnobrązowym drinkiem.

Gregor westchnął cicho. Spod stołu dało się słyszeć szcęk mechanizmu, po czym na szklance, z cichym szumem silników elektrycznych i szcękaniem zapadek, zacisnęło się pięć stalowych palców mechanicznej ręki. Pięć palców JEGO mechanicznej ręki. Gregora Ingrama. Zasłużonego weterana wojny w Nowej Prowincji Jugosławskiej, który za swoje poświęcenie dla oddziału otrzymał gówniany medal, sztuczną rękę i rentę w takiej wysokości, że nie mógłby sobie za nią kupić nawet strzelby, żeby palnąć sobie w łeb.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Ostatnie tego roku żywe jeszcze muchy ospale kręciły się pod drewnianym sufitem zrećźnie omijając przepełniony już ich współtowarzyszkami lep. Mały, podwieszony pod sufitem telewizor raczył wszystkich dookoła relacją z zamknięcia obchodów czterdziestej rocznicy panowania Adolfa Hitlera. Jak zwykle gratulacje, medale, dyplomy, pochód Młodych oraz wymienianie przez Najwyższego Kanclerza wszystkich, którzy *tak dzielnie jak nasz wódz bronili interesów Nowej Zjednoczonej Rzeszy*. Jeszcze salwa honorowa, pokaz fajerwerków i wszystkie biedne dzieci z podstawówki zmuszone do uczestniczenia w obchodach będą mogły pójść spać w swoich ulubionych piżamkach w kwiatki, koniki czy kolorowe swastyki.

Gregor uśmiechnął się mimowolnie unosząc szklanicę na wysokość twarzy, wpatrując się w migotliwe odbicia światła tańczące na jej powierzchni.

- Za tych co na morzu i tych, co już utonęli w tym gównie! – krzyknął z lekkim uśmiechem przyjmując okrzyk *aye!* padający z ust dwóch siedzących nieopodal żuli wznoszących bratersko swoje kufle. Gdy odstawił szklanę była już w jednej trzeciej pusta, zaś jego umysł z uwielbieniem zanurzył się w poczuciu lekkiego obrzydzenia i nadziei na zbliżające się szybkie urżnięcie.

- Ja bym się tak nie śpieszył na twoim miejscu – mruknął Duncce niby do czyszczonej właśnie karafki. – Dama, która siedzi w koncie sali ma do ciebie jakiś interes.

- Powiedziała ci o tym, czy... - szepnął wykonując przy okazji gest dwoma palcami przy prawej skroni. Wyglądało to trochę tak, jakby chciał sobie nimi strzelić w łeb i nie mógł się za bardzo zdecydować czy celować bliżej oczodołów czy potylicy. Duncce uśmiechnął się lekko pokazując przy okazji na swoje niebieskie oko.

- Czego ona chce?

- Nie mam pojęcia, ale jestem pewien, że po wszystkim szybciotko pojedzie do przytulnego pokoju na Hermann Goering Strasse.

- O matko... i TY to wszystko w niej wyczytałeś?

- Nie. Po prostu bardzo niedyskretnie zaparkowała swoje wynajęte BMW na tyłach baru – skwitował Duncce podnosząc karafkę tak, by złapała trochę światła, w którym mógłby zobaczyć gdzie ją jeszcze szlifować. Gregor roześmiał się starając się jednocześnie to ukryć podnosząc rozłożysty kołnierz płaszcza.

Znał Dunce'a od lat. Praktycznie odkąd tylko wrócił z wojny w siedemdziesiątym pierwszym to niemal dzień w dzień przesiadywał w tym barze. Dunce zaś od samego początku go zaskakiwał. Cichy, nieco zamknięty w sobie człowiek był efektem ubocznym projektu *Nowe Światło* z którym rząd Rzeszy reklamował się od początku lat pięćdziesiątych. Ludzie biorący udział w tym projekcie (zarówno aryjczycy jak i ci z tak zwanych *niższych ras*) mogli dać swoim nowonarodzonym dzieciom szansę na lepsze życie jako genetycznie ulepszona *Gwardia Narodowa Nowej Zjednoczonej Rzeszy*. Mieli być szybsi, silniejsi, sprytniejsi. Mieli być kartą przetargową w każdym nowym konflikcie jaki mógłby nawiedzić ten kontynent. Cóż, częściowo się udało. Wiele osób z projektu odznaczało się nadludzkimi umiejętnościami. o niektórych mówiono nawet, że potrafią czytać w myślach, czy przesuwać przedmioty na odległość. Ci, którzy stali się niczym starożytni herosi utworzyli *Zakon Nowego Światła*. Inni, którzy mieli w swojej przemianie zdecydowanie mniej farta, albo zmarli w jej wyniku, albo żyli dalej jako miejscowe dziwadła z rozkazu łaskawego rządu, niczym odpady chwalebного procesu ulepszania społeczeństwa. Kolejni weterani. Kolejne dyplomy. Kolejni ci, którzy *tak dzielnie jak nasz wódz bronili interesów Nowej Zjednoczonej Rzeszy*. Jednym z nich był właśnie Dunce. *odpadem* lub *odmieńcem* bo takie przypisywano określenia ich rasie.

Jednak przemiana samego Duncce'a nie miała dla niego tylko negatywnych skutków. Mówiło się, że potrafi *czytać* w ludziach, których widzi. Zobaczył kogoś pierwszy raz w życiu i często po prostu wiedział czy ma on rodzeństwo, w jakim przybywa nastroju czy też co ma ochotę za chwilę zamówić. Podobno oszczędziło mu to wielu kłopotów. On sam zaś zawsze kwitował swoje zdolności mówiąc, że zwyczajnie wie zawsze trochę więcej niż powinien.

Gregor pociągnął kolejny haust ognistego płynu ze szklaneczki. Przez chwilę delektował się pozostawionym w gardle posmakiem jałowca i Tajemnego Składnika Duncce'a. Następnie wstał, odwrócił się i podszedł powolnym, nadal nieco zbyt ciężkim krokiem do stolika przy którym siedziała drobna kobieta o niepewnym spojrzeniu. Miała na sobie niezobowiązujący i mało rzucający się w oczy strój. Szara, nieco wytarta marynarka, długa spódnica i szeroki, zakrywający niemal pół twarzy kapelusz. Spojrzała na niego przelotnie błękitnymi oczami. *Błękitne oczęta* – pomyślał – *oj będą kłopoty*. Zmrużył oczy nim zdążyła mu się przyjrzeć i zachwiał się lekko. Nieco zbyt teatralnie niż planował, ale wyglądało to dość przekonująco.

- Mha pakni jakhieś drobne? – spytał starając się przy tym wyglądać dość odrażająco i jak najbardziej przy okazji zapluć swoją siwiejącą, krótką kozią bródkę.

- Niestety nie, ale mogę panu zaproponować gotówkę jeśli udzieli mi pan informacji. Szukam człowieka imieniem Gregor Ingram. Jest on...

- ... weteranem wojennym w średnim wieku, który dorabia jako prywatny detektyw. Wiem, znalazła go pani. – odpowiedział już całkiem normalnie, dosiadając się przy okazji i stawiając z hukiem ciężką szklanę na blacie stołu. – i nie umie się pani bawić. – dodał z wyrzutem wydymając nieco wargi.

- Przepraszam, oczekiwałam kogoś ...

- Bardziej subtelny? w prochowcu i z cygarem w zębach? Kto zamówi sobie rozwodnioną whiskey i będzie w milczeniu mierzył wzrokiem zgromadzonych w barze ludzi szukając potencjalnych podejrzanych? Za dużo zachodnich filmów – powiedział grożąc jej zawadiacko palcem. Spojrzała na niego wzrokiem tak przenikliwym, że poczuł niemal jak przepała go nim na wylot. Wzdrygnął się wewnętrznie czując się przez chwilę kompletnie nagim i bezbronnym, jednak starał się tego po sobie nie pokazywać. Najwyraźniej mu się udało, gdyż na kilka długich sekund zapadła między nimi niezręczna cisza, dla której tło stanowiły brzdęknięcia kufli i gasnące pomruki *Deutschland Uber Alles* dobywające się z głośników telewizora. Poczł nagle, że musi się napić, a że nie zamierzał czekać aż to pragnienie dobrowolnie go opuści, wychylił resztę drinka ze szklaneczki. Poczł jak wzrok jego rozmówczynie przenosi się z jego twarzy na protezę jego ręki.

- Co się panu stało? – spytała swoim przyjemnym dla ucha, świergotliwym niemal głosem. Nie było w nim żalu ani współczucia, tylko czysta ciekawość. Gregorowi było to *na rękę*. Nie znosił gdy ludzie się nad nim użalali.

- Dorabiałem w cyrku odbijając granaty z backhandu i wie pani co? Przy takiej pracy człowiek naprawdę może się rozerwać – mruknął odstawiając szklankę. – Jednak pani nie przyszła tu podziwiać mojej urody, ani słuchać historyjek o moich cyrkowych wyczynach. Więc słucham, czego pani ode mnie chce pani...

- Meyer. Angela Meyer.

- Prawie miło mi panią poznać – przerwał jej, odchylając się na stołku i zakładając ręce za głowę – Więc jak mogę przysłużyć się naszej kochanej Rzeszy?

- Panie Ingram, proszę mieć na uwadze, że takie zachowanie może się panu bardzo zaszkodzić ... - powiedziała ostrzej, pochylając się do niego i splatając dłonie.

Przez chwilę przypominała prokuratora w środku przesłuchania, jednak jej ton znacznie zelżał gdy zauważyła, że nie robi na nim żadnego wrażenia. Grożono mu już zbyt wiele razy. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągając z niej dość grubą kopertę i dwa nieco zniszczone, kolorowe zdjęcia. Gregor zdążył jeszcze zauważyć odznakę Gestapo niedbale przypiętą pod klapą marynarki. Poczuł jak wskazówka jego wewnętrznego miernika *Gówna-W-Jakie-Się-Wpakował* (czasem skrótowo nazywał go *Szajs-O-Metrem*) gwałtownie podskakuje do siódemki w dziesięciostopniowej skali. *Będą duże kłopoty* – pomyślał, mimowolnie zagryzając przy tym wargę. Miał poczucie, że ta robota kiedyś go wykończy. Choć nie był do końca pewny co dokładnie miałyby to oznaczać.

Kobieta rozłożyła przed nim fotografie, z których uśmiechały się do niego dwie twarzyczki o subtelnych owalach, ciemnych oczach i włosach oraz nieco piegowatych policzkach. Jedna z nich to była kobieta w wieku lat około trzydziestu (bądź czterdziestu jeśli ją czas oszczędził), drugą zaś dziewczynka mająca co najwyżej dwanaście lat.

- Muszę panią niestety zasmucić... – powiedział biorąc jedno ze zdjęć do ręki i obracając je w palcach. *Loetzen, wakacje* - głosił napis z tyłu – Gdyż cofnięto mi licencję na świadczenie swoich usług Aryjczykom.

- Wiem. Niesłusznie oskarżył pan Aryjczyka o gwałt na kilku Słowiańskich dzieciach. Jestem pewna jednak, że tylko pan posiada umiejętności pozwalające na odnalezienie tych dziewczyn.

- Niesłusznie... - mruknął pod nosem zaciskając przy tym zęby. – Skąd w ogóle posiada pani takie informacje? – spytał nie zapominając o ujrzanej wcześniej odznace. Chciał się przekonać, czy jego rozmówczyni zechce się nią pochwalić.

- Ptaszek mi wyśpiewał. – odpowiedziała w irytujący sposób naśladowując jego ton głosu.

- Bez względu na to, co ptaszki pani śpiewają i po jakich proach pani je słyszy, nie mogę pani pomóc. – z lekkim stęknieniem podniósł się z krzesła i odwrócił w stronę baru zabierając ze sobą szklankę.

- Piętnaście tysięcy – rzuciła za nim. Zadziałało jak zaklęcie. Na niego i na kilku pozostałych bywalców baru, którzy jednak szybko wrócili do swoich trunków stwierdzając pod nosem, że pewnie kobieta domaga się alimentów. Nikt w tych okolicach nawet nie wspominał o takich sumach w gotówce. Chyba, że chciał dostać nożem pod żebro.

- Słucham? – powiedział odwracając się niby niedbale przez ramię, zastygły w pół kroku. Tak naprawdę wryło go w ziemię, gdyż nie był pewny czy przez całą swoją dotychczasową karierę jako detektyw zarobił tak dużą sumę.

- Za każdą... - dodała już znacznie ciszej, jakby skromnie. *Trzydzieści tysięcy nowych marek* - przemknęło mu przez myśl, zaś zaraz potem, że za taką sumę dałby sobie rękę uciąć. Dosłownie, gdyż starczyłoby to na porządną protezę dłoni, która by nie zacinała się i nie skrzypiała przy gwałtowniejszych ruchach. Ba, być może nawet udałoby mu się znaleźć lekarza, który za tą sumkę wykonałby mu porządny przeszczep. Mógłby znów pstrykać palcami, czuć ciepło dotykanej kobiety, zaciąć się choćby w palec albo mieć przynajmniej tyle czucia by nie miażdżyć w dłoni każdej szklanki z innego, niż pancerne, szkła. Spokojnie, jakby w zwolnionym tempie, dosiadł się ponownie do niej. Pochyliła się konspiracyjnie wlepiając od niechcienia wzrok w blat stołu.

- Mam dla pana też dwa tysiące zaliczki – powiedziała niemal znudzonym tonem zupełnie jakby czytała mu skład z puszki po zupie. Spojrzał na leżącą niewinnie na stole kopertę. Złożył ją, powoli chowając w kieszeni płaszcza, po czym ponownie ujął zdjęcia w dłonie. Wiedział, że Angela się uśmiechała.

- Ta starsza to Izabela Floriańska, druga to jej córka, Weronika. Obie mają krew klasy trzeciej. Ostatnio zameldowane były w Allstein w Prowincji Polskiej. Nie musze chyba dodawać, że są one niezwykle istotne dla Rzeszy, oraz, że wymagamy od pana zachowania najwyższej dyskrecji podczas ich poszukiwań?

- Rzeczywiście, nie musi pani – powiedział z jak największą dozą nonszalancji jaką udało mu się wydobyc w tej sytuacji.

- w kopercie jest adres ich mieszkania, dodatkowe zdjęcia, pańska zaliczka oraz dane do kontaktu ze mną. w tej sprawie będzie się pan kontaktował tylko i wyłącznie ze mną jeśli chce pan dostać resztę pieniędzy, zrozumieliśmy się? – Powiedziała wyuczonym, rozkazującym tonem wstając jednocześnie z krzesła.

- Tak, proszę pani. – odpowiedział nie odrywając wzroku od śmiejącej się do niego buźki z fotografii. Poczul się trochę jak świeżo wykupiony niewolnik.

- Proszę mi mówić Angela. – rzuciła i wyszła nie czekając nawet na jego odpowiedź.

Schował zdjęcia do tej samej kieszeni co kopertę. Podparł brodę na pięściach i zamyślił się na chwilę patrząc przed siebie. Nie pokazała odznaki. Proponuje pieniądze zamiast standardowego *dla dobra Rzeszy* co często było skrótem od *albo nam pan pomoże albo połamiemy panu nogi*. Nie chciała, by ktoś ją tu rozpoznał jako agenta rządowego i pewnie gdyby nie jego gadka to uraczyłaby go przygotowaną wcześniej historyjką o zaginionej dalekiej kuzynce/ przybranej siostrze/ niewolnicy/ kochance (niepotrzebne skreślić). Cokolwiek robiła, robiła to w tajemnicy przed wieloma ludźmi. Gregor ledwie podjął się tej sprawy, a już bardzo mu się ona nie podobała. Na *Szajs-O-Metrze* wskoczyła ósemka.

Podniósł się powoli, jakby przygnieciony ciężarem otrzymanej gotówki. z łoskotem postawił swoją wierną szklaneczkę na kontuarze opadając przy tym na barowy stółek ciężko jak worek cementu. Duncce bez słowa dołał mu kolejną porcję trunku. Jeden z pijaczków podszedł do niego krokiem wyjątkowo już marynarskim, podpierając się przy tym asekuracyjnie o każdy stół, krzesło i wieszak jaki znalazł się na jego drodze. Poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

- Panie kierowniku, pan się nie martwi – powiedział ziejąc w jego stronę trupim wręcz smrodem. – Te aryjskie dupy takie są. Najpierw obiecują złote góry i machają cyckami, a potem jak im coś nie przypasi to człowieka ciągną na dno. Na samo dno! Żesz jego mać! – ku uciezce Gregora pijaczek odsunął się kilka kroków, po czym przywódczym gestem wzniosł ku niebu do połowy pusty kufel w tak zamaszysty sposób, iż spora część złotego trunku wylądowała na podłodze. Następnie jak gdyby nigdy nic zasiadł przy najbliższym stole mamrocząc coś pod nosem.

- Mam wrażenie, że tej uroczej damie wcale nie chodziło o to, że zmalowałaś jej jakiegoś dzieciaka. – mruknął Duncce. Wszystkie karafki już lśniły.

- Będę miał robotę przyjacielu i wcale nie jest mi z tego powodu wesoło - odpowiedział wychylając zawartość szklanki jednym, porządnym haustem, którego nie powstydziliby się żaden zawodowy alkoholik. Duncce nie odpowiedział i nie skomentował. Może nie chciał, może nie musiał. Przez chwilę spojrzał tylko na niego swoim nieludzko błękitnym okiem. Tym, które widziało zwykle więcej niż powinno.

Niewielki bar ponownie został owiany chłodnym, listopadowym powietrzem, gdy Gregor po raz drugi tego wieczoru przeszedł pod znanym mu od lat szyldem „Pod przyciętym Capem” wpuszczając z zewnątrz woń dymu i dźwięk padającego deszczu. Niebo przybrało barwę najgłębszej czerni jaką zdarzyło mu się widzieć od wielu lat. Drobnie niczym igiełki krople mroźnego deszczu cięły powietrze boleśnie lądując na jego twarzy, prawie jak kolejne policzki wymierzane mu przez samego Boga. Odetchnął głęboko, opierając się o ścianę tuż obok rządowego plakatu przedstawiającego dwie szczęśliwe rodziny. Jedną rasy Aryjskiej, drugą czarnej. Stojące na przeciwległych krańcach plakatu, machając do siebie nawzajem w przyjaznym geście. Napis poniżej głosił *Obywatelu! Zachowaj czystość krwi!*

Krew. To na krwi stało całe te chore państwo, w którym miał wyjątkowe nieszczęście się urodzić.

Krwi nie wolno mieszać.

Krew wyższą szanować i jej służyć.

Krew Aryjską bronić za wszelką cenę.

Te trzy krótkie formułki znały dzieci już od przedszkola. Już od najmłodszych lat mówiono dziecku komu ma służyć i kim pomiatać. Gdy tylko *Nasz Wódz broniący interesów Nowej Zjednoczonej Rzeszy* przejął władzę wszyscy ludzie zostali poszufladkowani ze względu na rasę, czyli, inaczej właśnie, na kategorię krwi. Najwyżej w hierarchii stali oczywiście Aryjczycy, czyli tak zwana kategoria pierwsza. Były to osoby o blond włosach i niebieskich oczach, u których nie stwierdzono żadnych wad genetycznych. Mogli oni piastować wysokie urzędy, czy funkcje państwowe. Wszystkie drzwi stały dla NICH otworem, były leki produkowane specjalnie dla NICH, nikt IM nie mówił ile bachorów mogą mieć. Aryjczyka nie można było też oskarżyć o żadne przestępstwo, gdyż *jak wykazały rzetelne, państwowe badania* rasa tak zaawansowana nie była zdolna do jakiegokolwiek przemocy i nie musiała z niej korzystać. Gregor w myślach nadawał tej zasadzie krótką nazwę *Jebanej Bzdury nr.1.*

Niżej od Aryjczyków kulili się ludzie kategorii drugiej, czyli rasa Półaryjska. Osoby wykazujące tylko część przepisowych cech krwi wyższej oraz inni ci, którzy w jakimś stopniu nie pasowali do schematu jednej, czystej, panującej rasy, ale wciąż mieli tyle szczęścia by móc pracować jako szeregowi urzędnicy, czy nawet (o radości!) czyścić buty swoim aryjskim kuzynom lub nawet jeść w tych samych restauracjach co oni. Tylko oczywiście w oddzielnych salach.

Sam Gregor należał do kategorii trzeciej. Stanowiła ją rasa Słowiańska, którą rząd określał każdego, kto nie wykazywał aryjskich cech. Nazwa wzięła się od określenia wschodnich krajów, które broniły się aż do przełamania frontu wschodniego w czterdziestym szóstym roku. Podobno rasę tą wydzielił *Nasz Wódz* jako wyraz podziwu dla tych krajów za *wierność swoim prymitywnym ideałom i zaciętą, godną podziwu obronę w obliczu nieuniknionej klęski*. Jak nic wszyscy partyzanci i generałowie byli mu za to na pewno cholernie wdzięczni stając rzędkiem przed plutonem egzekucyjnym. Rasa ta nie miała prawa mieć więcej niż jedno dziecko na każdego osobnika, za to miała wątpliwy przywilej uprawiania legalnej prostytucji. Zupełnie jakby życie nie dość rżnęło ich w dupę.

W jeszcze gorszym położeniu były osoby, których krew miała kategorię czwartą i jakby nie patrzeć była to najobszerniejsza kategoria ze wszystkich. Obejmowała murzynów, Eskimosów, chińczyków i wszystkich tych, którzy (według rządu) *kolorem swojej skóry plugawili Matkę Ziemię*. No i do tego mieli nieszczęście urodzić się w tym kraju. Najczęściej zostawali niewolnikami lub żyli gdzieś w strachu zepchnięci jak Odmieńcy na margines społeczeństwa.

Na najniższym szczeblu, bez większego zaskoczenia, rząd umieścił Żydów. Nie zwracając uwagi na to, że tak naprawdę jest to raczej stan wyznania, niż przynależności rasowej tępił ich niemal jak zarazę. Ci, którym udało się uciec nigdy nie wrócili do Europy, reszta została *spacyfikowana*. Gdyż tak teraz w kartach podręczników historii określało się bezwzględną rzeź.

Jakby nie było, nic bardziej nie dzieliło dziś ludzi niż *Nowa Zjednoczona Rzesza – Jebana Bzdura nr 2*.

Odsunął się od wilgotnej ściany ze starczym jęknięciem. Krople deszczu przybrały na masie tworząc w rowach brukowanej ulicy pierwsze, nieśmiałe strumienie. w oddali migotały światłami i kusiły blaskiem i splendorem wieżowce stojące w aryjskiej części miasta. Tam ludzie nie znają głodu ani poniżenia, zaś swoje cierpienie ochoczo składają na barki ras niższych. Westchnął cicho podejmując marsz poprzez wąskie, brudne uliczki przedmieścia przypominające wiekowy, kamienny labirynt. Sporadycznie rozświetlany starymi, sodowymi lampami. Mijał zrujnowane kamienice osiadające w grząskiej ziemi jakby były przez nią pożerane. Kilka bezdomnych psów buszowało w śmietnikach robiąc przy tym nieludzki hałas i szczerząc zęby na każdego przechodnia. w jednej z nielicznych, oświetlonych bram zauważył kilka dziewczyn raczących się nawzajem papierosami i ogniem z zardzewiałej benzynowej zapalniczki. Na jego widok ożywiły się nieco uśmiechając się, pogwizdując i podciągając brzegi krótkich spódniczek. Gregor tylko pokręcił głową i oddalił się zniesmaczony w pośpiechu. Najmłodsza z nich miała jakieś jedenaście lat i wyglądało na to, że właśnie była przyuczana do *zawodu*. Oto ten sławny na cały świat kraj *pełen równości, pokoju i swobody* – *Jebana Bzdura nr 3*.

Skręcił w kolejną, wąską alejkę znajdującą się zaraz za starym, opuszczonym od wieków kościołem opatrzonym w dobrze widoczną, czerwoną tabliczką z napisem *zakaz wstępu*. Zgodnie z dekretem z 1956 roku wszelkie przejawy wiary, czy podziałów wyznaniowych było zakazane. w myśl równości oczywiście. Obok tabliczki, na bramie wisiał wyblakły rządowy plakat przedstawiający grupkę komiksowo zdeformowanych dziadków w futrzanych czapczkach, wyciągających szponiaste łapska do małej, aryjskiej dziewczynki. Podpis pod spodem głosił *Obywatelu! Walcz z komunizmem dla dobra swoich dzieci!* Plakatów takich jak ten było pełno tak samo w mieście jak i w całej reszcie Rzeszy. Wszystkie wykonane drobiazgowo i dokładnie. Każdy utrzymany w stylistyce wojskowego rozkazu, gdzie *Obywatel* musiał walczyć z komunistami, gripą, Żydami, rasowymi mieszańcami czy łupieżem. Zupełnie jakby sama walka o przeżycie już nie wystarczyła.

Deszczyk przerodził się w prawdziwą ulewę, więc gdy Gregor dotarł wreszcie do swojego mieszkania był już zupełnie przemoczony. Mieszkał na drugim piętrze niewielkiego budynku, który, tak samo jak inne w okolicy, schował się już w ziemi na dobre pół metra. Można by powiedzieć, że natura ułatwiała tu mieszkańcom życie sprawiając, że średnio co dziesięć lat mieli kolejny schodek mniej do pokonania. Tego roku zostały już tylko trzy stopnie.

Oszołomiony lekko alkoholem Gregor zaczął się wspinać na półpiętro klatki schodowej trzymając się mocno nieco brudnej, poluzowanej poręczy. Na jednym ze stopni jakiś szczur pieczołowicie mył wąsy od czasu do czasu rozglądając się leniwie dookoła. Była już późna godzina i cała kamienica, wraz z jej legalnymi jak i dzikimi lokatorami, najwyraźniej już spała. Spod niektórych drzwi dopływały jeszcze ściszone głosy telewizorów, czy też rytmiczne skrzypienie sprężyn w łóżkach. Po kilku minutach schodowej wspinaczki i chwiejnym spacerze po korytarzu wyłożonym starym, brunatnym dywanem, dotarł pod drzwi swojego mieszkania. Ogarnęła go duma i pewien rodzaj smutku, gdy trafił kluczem do zamka za pierwszym podejściem. Możliwe, że nie był aż tak pijany, by w spokoju wytrzymać dzisiejszą noc.

Mieszkanie było niewielkie i wręcz pedantyczne jak na standardy tego budynku. Ściany niedawno bielone, choć niemiłosiernie krzywe i noszące jeszcze ślady świeżo zlikwidowanego grzyba. Podłoga względnie czysta jeśli nie liczyć karalusznych odchodów, które bez względu na to jak często były zbierane zawsze pojawiały się w jakiś tajemniczy sposób. Tym bardziej, że samych karaluchów nigdy nie zauważył.

Opadł z łoskotem na starą kanapę straszącą kolorem upiornej, bagiennej zieleni. Przez kilka chwil miał wewnątrz ociemniałego umysłu słowa i zachowanie Angeli. Czy w ogóle miała tak na imię? Dlaczego tak jej zależało na tych dwóch kobietach? Oraz, przede wszystkim, czemu dał się wplątać w tą sprawę nawet za tak dużą gotówkę? Wyjął kopertę i otworzył ją wysypując zawartość sobie na kolana. w środku było równo dwa tysiące nowych marek w pięknych, choć używanych stumarkowych banknotach. Zaraz za nimi było kilka prostokątnych zdjęć wykonanych najprawdopodobniej turystycznym aparatem. Jednym z takich, które na miejscu wywołują zdjęcie. Gregor pomyślał, że taki sprzęt to dość duży wydatek jak na osoby o trzeciej kategorii krwi. Wśród zdjęć było jedno wykonane w lesie przedstawiające dziewczynkę trzymającą w ręku jaszczurkę. Na innym kobieta najwyraźniej zmartwiona stała nad metalowym, parującym czajnikiem. Kolejna przedstawiała obie damy uśmiechnięte stojące obok ruin katedry. Wszystkie zdjęcia datowane były na ten rok. Czyli od zaginięcia minęło nie więcej niż kilka miesięcy. Wyglądało na to, że decyzja o wynajęciu nieryjczyka została podjęta dość pośpiesznie i to najwyraźniej bez zawiadamiania aryjskich detektywów, czy organów ścigania.

Osunął się niżej. Kilka banknotów spadło z jego kolan i po malowniczym locie osiadły na podłodze niczym opadnięte liście. Sufit delikatnie tańczył mu przed oczami spokojnego, rytmicznego walca. Jakiś hałas wyrwał go z otępienia i płytkiej drzemki w jaką udało mu się zapaść. Pewien człowiek na ulicy głośno i dosadnie wyrażał swoje niezadowolenie z metod prowadzenia samochodu przez drugiego człowieka. Podniósł się gwałtownie oklepując przy tym po twarzy. Zebrał rozsypane przez przypadek pieniądze i zdjęcia, upchnął je z powrotem do koperty i udał się do sąsiedniego pokoju, który od czasu do czasu robił za jego biuro.

Pokoik był jeszcze mniejszy od poprzedniego. Mieściło się tam tylko biurko z terminalem i stara szafka na akta, która zaledwie do połowy była wypełniona papierkowym i biurowym syfem. w większości i tak były to tylko rachunki i upomnienia o zbliżającym się *ostatecznym terminie zapłaty* za to i tamto. Honorowe miejsce na biurku zajmowało kilka ręcznie zrobionych kartek podarowanych mu przez odnalezione dzieci. Rysunkowy, zielony, jednooki potwór spoglądał na niego groźnie swoim czerwonym ślepiem kompletnie nieświadomy równie rysunkowego Gregora czającego się na niego w cieniu, ze swoim wiernym rewolwerem. Podpis wybazgrany drukowanymi literami głosił *dla mojego bohatera – Jakob*. Gdyby Jakob wiedział, że po tych czterech dniach spędzonych w studni wróci do świata tylko po to, by za rok zostać *przypadkiem* zastrzelonym na ulicy przez pijanego funkcjonariusza... Jego matka do tej pory sili się na uśmiech spotykając Gregora na ulicy.

Takich kartek miał jeszcze kilkanaście. Nie wszystkie oczywiście się zmieściły na biurku, jednak żadnej nie wyrzucił. Najczęściej były jego jedyną zapłatą za to, co zrobił. Czasem, między rysunkowe ludziki, któryś wdzięczny rodzic wsuwał dwudziestomarkowy banknot, czy też rządowy kupon na darmowy posiłek, jaki z rzadka ludzie otrzymywali z kulejącej w tym kraju pomocy społecznej. Czy kiedykolwiek chciał od tych ludzi pieniędzy? Może kiedyś, dawniej. Kiedy to dawny, młody Gregor Ingram uważał, że od świata należy mu się coś więcej niż innym choćby za to, że *tak dzielnie jak nasz wódz bronił interesów Nowej Zjednoczonej Rzeszy*. Potem jednak wyszła przykra sprawa z Faustem i w tym momencie cały świat uznał, że wcale nie zależy mu na jego zasługach i wyraźnie pokazał, gdzie Gregor może go pocałować.

Zagryzł wargi i wcisnął przełącznik na terminalu oczekując rychłej eksplozji, lub co najmniej pożaru. Rozluźnił się nieco dopiero, gdy wysłużony rzęch zamiast ogni piekielnych i snopów iskier wydobył z siebie charczący pomruk i przywitał go lakonicznym tekstem:

```
*****  
*   Połączono z siecią   *  
*           BrassCom     *  
*****
```

wprowadź login użytkownika bądź kod papilarny

>

Gregor błyskawicznie wprowadził swój identyfikator (choć mózg nie mógł go sobie przypomnieć, to palce same z siebie postanowiły wyręczyć podchmielony umysł). Następnie wszedł do Serwisu Zarządzania Danymi Obywateli. Tak, w tym *pięknym i wolnym* kraju wszyscy byli na stałe inwigilowani i wszystko lądowało do publicznej wiadomości. Każdy, z odpowiednim poziomem dostępu, mógł podejrzeć co robi jego żona, jakie pornole włącza sąsiad wieczorami i czy podbiera mu je jego syn. Oczywiście osób z wyższą kategorią krwi nie było można podglądać. Nikt też się raczej nie przejmował tym, co wyląduje w rejestrze gdyż opowieści o nim krążyły bardziej jako miejska legenda i bajka do straszenia dzieci. Niewielu też miało dostęp do terminalu, by ten mit sprawdzić.

W Spisie Obywateli wpisał *Angela Meyer. Execute*. Terminal chwilę zaszumiał racząc go niezwykle przejmującą animacją trzech pojawiających się kolejno kropek tańczących u dołu ekranu. Po chwili namysłu, na ciemnym ekranie rażąco zieloną czcionką pojawił się napis:

-> Nie masz uprawnień do wyświetlania tej informacji.

>

Bosko – pomyślał – *Czyli ktoś taki jak Angela Meyer istnieje i na pewno ma wyższą klasę krwi niż ja.* Założył ręce za głowę i odchylił się lekko do tyłu, z lekkim niepokojem wsłuchując się w stęknienia pękającego krzesła. Po chwili wyprostował się, wstukał w klawiaturze adres terminalu Zarządu Komunikacji Ras Niższych i zaczął szczegółowo planować podróż do Allstein.

Po około dziesięciu minutach intensywnej wymiany danych między swoim terminalem, a jednostką ulokowaną w ZKRN zdołał zarezerwować bilet, sprawdzić dokładne trasy przejazdu, godziny odjazdu, a nawet dowiedzieć się przypadkiem, że Allstein słynie ze wspaniałych piwiarni i mało wymagających burdeli. Idealne miejsce na rozpoczęcie poszukiwania małej, zagubionej dziewczynki i jej matki. Spisał wszystkie potrzebne informacje w niewielkim, sfatygowanym notesie, który nosił często przy sobie za *starych, dobrych czasów*. Następnie wyłączył terminal z niesmakiem zauważając cienką strużkę dymu wydobywającą się spod szarej obudowy opatrzonej logiem firmy *Siemens & Haskel*. Gregor musiał się poważnie namęczyć by zdobyć terminal z dostępem do rządowego systemu danych.

Przez cztery kolejne lata nawiedzał co tydzień *Urząd ds. Zaopatrzenia Ras Niższych*, by po tysiącach złożonych podań, zażaleń i setkach wymyślnych argumentów otrzymać kupon na jeden terminal z serii A300 (przestarzały już jak na tamte czasy) i ograniczony dostęp do zasobów rządowej bazy danych. Był pewny, że ktoś z *góry* pociągnął za kilka sznurków by mu to ułatwić, jednak nie przypominał sobie by zrobił coś dla któregoś z *aryjskich braci*.

A może chcieli go po prostu przekupić? w jego głowie znów pojawiło się zniechęcenie do przezwisko *Faust*.

Naprawdę nazywał się Heinrich Kemper i był profesorem filozofii na uniwersytecie w Monachium. Gregor natrafił na niego kiedy zlecono mu odnalezienie dwoje bliźniąt rasy Słowiańskiej, które zaginęły nagle z ulicy, bawiąc się w parku na obrzeżach miasta. Po wielu dniach poszukiwań trop zawiódł go piwnicy domku letniego Kempera, gdzie znalazł czterech chłopców i sześć dziewczynek. Wszyscy w wieku od siedmiu do jedenastu lat, maltretowanych tygodniami przez człowieka, który kazał im się nazywać właśnie *Faustem*. Pośród dzieci znaleziono jeszcze dwa nagie ciała ich rówieśników zasypane w płytkich grobach z dziwnymi znakami i runami wyrytymi w wątych ciałkach.

Gregor latami się zastanawiał co by było gdyby tamtego dnia nie zacięła mu się broń kiedy wymierzył w schodzącego do piwnicy Kempera. Co by z nim zrobili, gdyby zastrzelił tę kreaturę uważającą się za człowieka. Zapewne usmażyliby go na chrupko na krześle elektrycznym za zabicie Aryjczyka nie zważając na to ile ciał i kości ten sukinsyn zostawił za sobą. z niesprawną spluwą Gregor mógł zrobić tylko jedno. Przemebłował mu twarz swoją żelazną ręką. Tłukł go pomiędzy zdziwione, kaprawe oczka dopóki tamten nie zemdlał. Następnie wypuścił dzieci, związał *Fausta* i (co najwyraźniej było błędem) wezwał policję. Zamiast niej pojawiło się Gestapo.

W przeciągu procesu, który trwał śmieszne dwadzieścia minut ustalono, że Kemper był zupełnie niewinny. Dzieci podrzucił tajemniczy *ktoś inny*, kto pod nosem niczego nie świadomego i niewinnego profesora filozofii gwałcił i mordował dzieci w piwnicy jego letniego domku. z zeznań dzieci użyto tylko tych, których rodziców udało się na tyle przekupić by wskazali jakiegoś włóczęgę, który akurat się napatoczył w okolicy. Co do Gregora zaś... Oczywiście próbował wyjaśnić, że Kemper miał jedyny zestaw kluczy, kłódka w piwnicy była tak mocna, że musiał ją prawie półtorej godziny wyłamywać łomem, zaś sam *niewinny profesor filozofii* nim zapoznał się z żelazną pięścią schodził do piwnicy nagi, umalowany jak szaman i trzymając w dłoni nóż. Sąd uznał, że dziadek został zaalarmowany przez hałasy i zapewne zszedł by się bronić przed napastnikiem. Może to dlatego, że sędzia nie widział przerażenia w oczach tych dzieci, gdy Kemper dysząc jak lokomotywa zsuwał swoje ponad stukilowe aryjskie cielsko po schodach. Może dlatego, że on był Aryjczykiem, a Aryjczyk nie mógł popełnić tak *obrzydliwej zbrodni nawet wobec rasy niższej*, czyli patrz *Jebana bzdura nr 1*.

Po całej sprawie włączę powieszono. Porwania ustały. Heinrich Kemper wrócił na uczelnię, choć podobno szybko wyprowadził się z Monachium (dziwnym trafem w noc jego wyjazdu spalił się ów letni domek), zaś Gregorowi pogożono palcem i odebrano licencję na świadczenie usług rasy aryjskiej. w tajemniczych okolicznościach miesiąc później pozytywnie rozpatrzono jego dwieście-którąś prośbę o przydział na terminal. Nazwisko Kemper już nie widniało wtedy w Spisie Obywateli. Sprawdził to kilkanaście razy. Od tamtego zdarzenia Gregor zaczął regularnie i dokładnie czyścić swój rewolwer.

Niewielki zegarek stojący w większym pokoju piknął nieśmiało zapowiadając północ. Jeśli się pośpieszy to resztę nocy spędzi już w Allstein.

Wstał tak szybko, że przez chwilę przed oczami zatańczyła mu chmara światełek. Wyciągnął solidną skórzaną walizkę, która od dłuższego czasu spoczywała na dnie szafy zbierając tylko kurz i martwe mole. Westchnął cicho. Nie pamiętał już kiedy wybrał się na jakikolwiek wyjazd dla przyjemności, nie mówiąc już o zrobieniu sobie porządnych wakacji. Chociaż nie. Jedne pamiętał. Te dwa tygodnie spędzone w szpitalu po tym jak przyprawili go o sztuczną dłoń. w porównaniu z horrorem wojny te czternaście dni spędzonych na prochach przeciwbólowych i fundowanych przez państwo obiadkach było istnym niebem. Wyjął z koperty dwieście marek, po czym upchnął je do kieszeni. Samą kopertę zaś rzucił na pożarcie otwartej paszczy walizy. Poczł się jakby przywracał do życia od dawna martwego potwora. Walizowe monstrum, które wiernie towarzyszyło mu za *starych dobrych czasów*. Była z nim wszędzie. Nawet w Monachium, kiedy po rozpracowaniu sprawy Fausta wrzucił do niej zwinięty w kulkę plik papierów informujący urzędowym tonem, że stracił licencję. Czy był wtedy wściekły? Nie. Był szczęśliwy, że udało mu się uratować kilkoro dzieciaków od tego potwora. Mimo wszystko czuł się nienasycony, bo pomimo jego starań ów potwór biegał na wolności. o ile jakiś zdenerwowany tatuś nie upieprzył mu nóżek. Westchnął po raz kolejny czując, że wraz z dreszczami opuszczają go resztki alkoholowego upojenia. *Stary i Dobry* Gregor Ingram, którego kiedyś znał, nie powstał z martwych, jednak w łaskoczącym mrowieniu dał znać, że jeszcze nie umarł. a mrowiała mu akurat prawa dłoń.

Pobudzony tym dziwnym uczuciem, lub może kolejnymi falami dreszczy, dopadł jak huragan do szuflady biurka w swoim gabinecie. Wyciągnął z niego pudełko kul kalibru .38 i swój rewolwer. Nie była to byle jaka sikawka plująca kulkami na wszystkie strony, o nie. Był to wykonany na zamówienie prezent od kolegów z wojska. Lekka i solidna broń ze stalową rękojeścią wykonaną tak ,by idealnie leżał zarówno w lewej jak i w prawej dłoni nie dając się przy tym skruszyć żelaznym palcom tej drugiej. Szczegółowo szlifowany bęben dawał możliwość załadowania siedmiu pocisków choćby z zawiązanymi oczami. Najbardziej jednak Gregor lubił w nim mechanizm spustowy. Kunsztowna robota, w której tajniki nie wnikał, sprawiała, że broń praktycznie nie miała odrzutu. Mogłoby nią wdzięcznie strzelać nawet siedmioletnie dziecko. Na boku lufy zostało wygrawerowane ozdobnymi literami słowo *Berserkr*.

Gregor przymierzył się do strzału. Najpierw raz, potem kolejny. Za trzecim razem pociągnął za spust. Igła uderzyła w pustą komorę wydając zdrowe szczęknięcie dobrze nasmarowanego mechanizmu. *Jeszcze tylko przybornik-* pomyślał sięgając do drugiej szuflady. Zajmowała ją w zupełności metalowa, pomalowana na brązowo, prostokątna puszka wielkością zbliżona do pudełka po butach. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Była prawie jak jego talizman. w środku, w specjalnych, uszytych ze skóry przegrodach znajdowały się niewielkie flakoniki ze smarami, szmatki, chloroform, mała latarka i inne drobne narzędzia i przybory zarówno niezbędne w pracy, jak i przydatne do konserwacji broni, tudzież ręki. Metalowe pudełko wylądowało w walizie tuż obok koperty i paczki nabojów uszczuplonej o siedem sztuk. Ingram poczuł, że ma już przy sobie wszystko, co potrzebne mu do życia. Pozostało jeszcze spakować jakieś ubrania.

W dziesięć minut później szczęknięcie zamka w jego mieszkaniu niczym piła motorowa przepruło się przez uśpione korytarze kamienicy. Gregor odwrócił się na pięcie i zaczął sunąć poprzez ciszę niczym zjawa. Serdecznie poklepywany po piersi przez tkwiący w kieszeni płaszcz portfel z imitacji skóry wraz z uśpioną w nim legitymacją detektywa. Po lewym biodrze delikatnie głaskał go rewolwer upięty w wysłużonej kaburze, uwieszanej na specjalnych szelkach.

Na zewnątrz resztki ulewy muskały jego twarz niczym chłodne, przyjazne dłonie. Na mrocznych kałużach przypominających plamy ropy powstawały kręgi w hipnotyzujący sposób odbijające światło ulic. Gdzieś w oddali rozpaczliwie ujadał pies. Przez opuszczoną uliczkę przejechał patrol policji politycznej poszukując zapewne wichrzycieli, komunistów czy też tanich dziwek. Gregor postawił kołnierz i rażnym krokiem przemknął przez spękane chodniki do najbliższego zejścia pod ziemię, oświetlonego starymi, migoczącymi jarzeniówkami i opatrzonego znakiem kolei podziemnej. Następnie w dół, po wyżłobionych wodą stopniach, obok niewielkiego wodospadu deszczówki szukającego ujścia gdzieś w bebeczach tego miasta. Podziemia były równie opustoszałe jak powierzchnia, jeśli nie liczyć menela śpiącego na jednej z nielicznych ławek tuż obok ręcznie wymalowanego znaku *Nie patrz ludziom w oczy. Nigdy nie wiadomo co w nich znajdziesz*. Na ceglanych ścianach wymalowane były znaki minionych dekad. Kotwice, dawno zapomniane litery, hasła w stylu *Hitler kaput* czy *Adolf nie myje nóg*. Niektóre nieco świeższe, inne stare prawie jak te mury.

Nagle przez megafony dało się słyszeć sygnał informujący o przyjeździe pociągu. Bramki oddzielające tor od peronu zaczęły się zamykać błyskając zamontowanymi u ich szczytu kogutami, wyznaczając bezpieczną odległość, z jakiej można było oczekiwać przyjazdu. Powietrze w tunelu się nieznacznie poruszyło niosąc za sobą zapach wilgoci i chłód. Rozwiewając rozrzucone gdzieś niedzie strony z gazet i stare opakowania po słodyczach. Zrobił krok do tyłu. Ścisnął mocniej w lewej dłoni rączkę swojego *walizkowego potwora*, którego dwa szczerbate zęby klamer dzielnie ścisnęły niemal cały jego dobytek. Podmuchał przybrał na sile zamieniając się w prawdziwy wiatr. z oddali dało się słyszeć pisk hamulców przywodzący na myśl zawrozenie rannej *banshee*. w następnej chwili stalowa bestia z impetem wjechała na peron syjąc iskry spod zatrzymujących się kół. w jedynych drzwiach, które się otworzyły przywitał go zmęczonym uśmiechem Słowiański konduktor.

- Proszę o dokument uprawniający do przejazdu. Dokąd się wybieramy? – spytał.

- Do Allstein dobry człowieku – odpowiedział mu zręcznym ruchem wyciągając portfela legitymację detektywa, z kieszeni zaś stumarkowy banknot.

- a więc Allstein. To będzie siódma stacja panie Ingram – odpowiedział konduktor jakby znacznie już weselszy, wydając mu przy tym osiemdziesiąt marek reszty. Gregor śmiało wszedł do środka zajmując miejsce przy jednym z okien. Pociąg nie posiadał przedziałów, tylko siedzenia ustawione do siebie czwórkami. Wszystkie obite tak samo brzydkim, czerwonym materiałem i tak samo cuchnące. Przynajmniej w komunikacji publicznej wszyscy byli sobie równi. Nim ruszyli zobaczył jeszcze raz menela z ławki. Przez krótką chwilę, gdy kładł swoją walizę na jednej z podwieszonych pod sufitem półek. Spojrzał w jedyne, szare, świdrujące oko brudnego, brodatego człowieka. Przez ten ułamek sekundy poczuł, że zna to spojrzenie i bardzo mu się to uczucie nie podobało. Po drugim oku pozostały tylko zapadnięte w oczodół powieki. Chwilę potem pociąg ruszył zostawiając za sobą stację jak i dziwaczego staruszka. Ingram rozsiadł się wygodnie starając się przy tym opędzić od natrętnych myśli podsuwających mu obraz tego samotnego, przewiercającego duszę oka. Po dłuższej chwili zapadł w krótką i dość niespokojną drzemkę.

Pamiętał, że obudził się z niej gwałtownie, niemal krzycząc, jednak sama treść tego, co mu się w tym krótkim czasie przyśniło uszła jego pamięci. Był jednak pewien, że to, co zobaczył nie było do końca snem, lecz raczej czymś w rodzaju wspomnienia. Zerknął na zegarek powieszony nad drzwiami, na końcu wagonu, by przekonać się, że pozostało mu jeszcze pół godziny jazdy. z nieco większym zadowoleniem odkrył, że teraz ma współtowarzysza podróży. Kilka rzędów przed nim, na miejscu zwróconym do niego przodem siedziała młoda, czarnoskóra kobieta zatopiona w lekturze nieznanej mu książki. Podróżowała sama, więc należała zapewne do niewielu przedstawicieli swojej rasy, którzy nie zostali zmuszeni, ani z własnej woli nie uprawiali niewolnictwa. Lektura pochłaniała ją tak bardzo, że nawet nie zauważyła, iż jest obserwowana. Na okładce książki wymalowany był pysk psa, który we wściekłym wyrazie ukazywał przekrwione kły. Niestety tytuł książki zasłaniała ręką. Po chwili spojrzała w jego stronę, zupełnie jakby została przywołana jego ciekawością. Wzrok potrafi mówić równie wyraźnie jak słowa, czasem też umie równie wyraźnie krzyknąć. Jej wzrok na początku przedstawiał niepewność i lekki strach. Później zastąpione przez przyjazną ciekawość poprzedzoną lekkim uśmiechem. *Czemu pan tak patrzy, panie nieznajomy?* Zdawał się pytać. Nim Gregor zdążył na niego w jakikolwiek sposób odpowiedzieć, pociąg zatrzymał się z lekkim szarpnięciem na stacji Laukmedien. Dziewczyna wysiadła w pośpiechu roztaczając wokół siebie zapach delikatnych perfum. Poprawił się w fotelu zakładając ręce za głowę. Uśmiechając się do siebie spojrzał przez okno

widząc jak niedawna współtowarzyszka jego podróży znika za rogiem na wpół zawałonego domu. Po chwili jego uśmiech nieco zbladł. Przypomniawszy sobie, że od początku lat pięćdziesiątych ludzie o odmiennym kolorze skóry nie są wpuszczani do szkół. w głowie starego detektywa pojawiło się nieco dziwne, choć niezbyt niepokojące pytanie *Gdzie ta dziewczyna nauczyła się czytać?* Stalowa machina znów ruszyła z miejsca tnąc powietrze niczym pocisk. Wynurzając się tylko czasami z gąszczy podziemnych tuneli by uraczyć ludzi widokami miast i lasów obserwowanych z wysokich, zawieszonych nad nimi mostów. Jazda ta czasami przypominała kolejkę górską. Raz górą, raz dołem. Wszystko po to, by pociągi wyładowane ludźmi różnych kategorii nie przejeżdżały przez aryjskie części miast i nie tamowały ruchu. Rozwiązanie równie genialne jak i rasistowskie.

Ponownie wyjrzał na zewnątrz obserwując sodowe lampy, zdające się wybiegać naprzeciw pociągowi w pełni swego blasku. Większość ulic była już całkowicie opustoszała. Na kilku z nich ludzie z niższych ras przemieszczali się prowadząc przed sobą maszyny do zamiatania jezdni. Czasem jakiś człowiek przemykał z jednej ciemnej uliczki w drugą. Kilka kobiet najwyraźniej zaczynało drugą zmianę przy bardziej ruchliwych ulicach. w jego głowie wciąż kołatało się kilka natrętnych pytań, których nie uspiła nawet późna pora. Kim był ten menel? Skąd u niego nagle takie przyływy młodzieńczego zapachu? I, przede wszystkim, co oprócz pieniędzy go podkusiło, żeby wziąć tą sprawę? Śmierdziała na kilometr skandalem grubszym niż Kemper w sile wieku i Ingram zdawał sobie z tego sprawę. Wręcz wiedział, że pakuje się w głęboki, śmierdzący, ciemny jak dupa kanał.

- Następna stacja. Allstein. Strefa Niearyjska – zakomunikował dźwięczny, kobiecy głos z mocnym, niemieckim akcentem wrywając go przy okazji z zamyślenia. Czas wysiadać. Na bezowocne rozważania będzie czas jutro i zapewne za tydzień. Wstał, zabrał walizę i poklepał się po biodrze odruchowo sprawdzając, czy nikt nie świsnął mu broni podczas snu. Była na szczęście na swoim miejscu. Drzwi pociągu otworzyły się z lekkim szelestem i skrzypnięciem niczym wieko pneumatycznej trumny. Do jego nozdrzy doleciał dobitny zapach moczu wyziewający z kątów zapuszczonego, podziemnego peronu. Tu, dla odmiany, ściany były pokryte *patriotycznymi* plakatami przedstawiającymi gwiazdę Dawida oraz sierp i młot jako symbole niszczycielskiego komunizmu czy też biedną, obdartą rodzinę stojącą w cieniu pławiącego się w luksusach człowieka z kozią bródką i długimi pejsami. Na kolejnym dzieci razem i z uśmiechem rysowały na kartce papieru niezwykle równą i wyraźną swastykę podpisaną hasłem *Dzieci przyszłością Rzeszy*. Przez chwilę zastanowił się czy może jest gdzieś człowiek, który kolekcjonuje te wszystkie obrazki. Od całej tej propagandy Ingram dostawał już nudności połączonych z narastającym obrzydzeniem. Ludzie żyli często w gównie po uszy poniżając się i sprzedając, by mieć co położyć na chleb, a tu z każdego kąta wymalowane buźki mówiły im, że wszystko jest w najlepszym porządku albo, co gorsza, że lepiej już nie będzie. Czasami marzył o dwudziestu kilogramach dynamitu, które mógłby podsadzić pod jakiś wysoko postawiony aryjski tyłek. Niestety, nie posiadał takich

materiałów i zapewne zrobiłby tym tylko przysługę innemu, niżej postawionemu aryjczykowi, który od lat ślini się na wyższy stołek.

Spojrzał prosto w oko kamery przyglądającej się mu spod sufitu. Allstein tak jak każde większe miasto było szczegółowo monitorowane, bo oczywiście za każdym rogiem czaili się komuniści, wichrzyciele, Żydzi, czy też inne osobniki, które rządowi nie pasowały i otrzymały tabliczkę *wroga publicznego numer jeden*. Oczywiście, tych *numerów jeden* było znacznie więcej. Wyszedł naprzeciw jasno oświetlonym przedmieściom Allstein. Było tu znacznie przytulniej niż w jego rodzinnym mieście. Gdzieniedzie, spośród zaułków, na człowieka spoglądały przyjacielsko kolorowe reklamy i billboardy (*kup najnowsze BMW 650! Auto, którego nie powstydzilby się nawet Nasz Wódz*). Wśród tej płątaniny reklam jedna przykuła jego uwagę. Był to niewielki potykacz, ustawiony niedaleko narożnego sklepiku z prasą, kierujący do *Motelu Przytorze*.

Czując coraz wyraźniejsze zmęczenie i senność postanowił nie szukać dalej innego noclegu. Poza tym miejsce na obrzeżach miasta było niezwykle dogodne. w szczególności, jeśli przyjdzie mu z niego szybko się zwinąć. Po zaledwie dziesięciu minutach spaceru natrafił na dość duży, staroświecki, metalowy szyld wiszący na niewielkim słupku, tuż nad drzwiami jednego z domków w osiedlu skromnych, drewnianych szeregowców. Zapukał w drzwi, tuż nad grawerowanym napisem *biuro*.

- Wlazł! – usłyszał po drugiej stronie. Gdy wszedł ujrzał zasuszonego, siwego jak gołąb sześćdziesięciolatka w rozchełstanej koszuli. Pobieźnie wertował nieudolnie schowanego za gazetą świerszczyka. Przerywał tylko na chwilę, by zmierzyć Ingrama badawczym, chłodnym spojrzeniem. *Pólaryjczyk* – przemknęło Gregorowi przez myśl.

- Ile za miejsce? – spytał specjalnie rozedrganym tonem nerwowo przewracając ręce w kieszeniach i wzdrygając się teatralnie jakby nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Następnie podchodząc potknął się o dywan klnąc cicho pod nosem. Najwyraźniej zadziało, gdyż twarz staruszka wyraźnie się rozluźniła przybierając wyraz *mój Boże, kolejny matol*.

- Piętnaście marek za noc – powiedział składając gazetkę i, niemal dyskretnie, chowając ją pod biurko. Ingram był pewien, że cena jest znacznie zawyżona. *Tym lepiej – pomyślał - nie dość, że ma mnie za idiotę, to do tego ma mnie za idiotę, z którego można coś zdrzeć*. Mimo wszystko wymusił na twarzy wyraz teatralnego zakłopotania i względnego zmartwienia wysoką ceną. Następnie zmiął w kieszeni resztę wydaną mu przez konduktora pociągu i niby niedbale rzucił na stół starając się przy tym wyglądać jak najbardziej smętnie i przede wszystkim nie wyciągając prawej ręki z kieszeni.

- Żona się pana wyzbyła? – spytał staruszek, którego czujność do końca uśpiła duża ilość gotówki.

- Weź pan przestań. – odburknął – Murzyńskich chujów jej się zachciało... - powiedział spuszczać głowę i napinając mięśnie twarzy. Kiedyś, przed wojną, marzył o tym, żeby zostać aktorem. Niestety do akademii nie przyjmują jednorękich, a tym bardziej jednorękich Słowian. Jego rozmówca uśmiechnął się pod nosem. Następnie podał mu kluczyk z drewnianym brelokiem, na którym widniała wypalona ósemka.

- Ostatni domek, w rogu. Życzę miłego pobytu – powiedział z wyraźną satysfakcją, po czym, nie poświęcając mu więcej ze swojej bezcennej uwagi, powrócił do lektury pisemka. Ingram szepnął pod nosem niewyraźne *dziękuję*.

Rozluźnił się dopiero, kiedy drzwi biura się za nim zatrzasnęły. Czy mógł wypytać kierownika o dziewczynę i jej matkę? Oczywiście! Jednak nie zrobił tego zgodnie z zasadą mówiącą, że *nie należy srać we własne gniazdo*. Zdecydowanie wolał by ten staruszek nie wiedział kim Ingram jest w rzeczywistości, ani po co tu przyjechał.

Zamarł gdy tylko otworzył drzwi. Poczł jak na kark wstępuje mu zimny pot niczym ślad po mokrej ręce samej kostuchy. Odruchowo sięgnął do kabury, dziękując Bogu za to, że mechaniczne dłonie nie mogą się trząść z nerwów. Przez chwilę stał w kompletnym bezruchu zastanawiając się, czy zapalić światło. w końcu jasność zalała niewielkie pomieszczenie, pośrodku którego stał niski, przeszklony stolik do kawy. Na nim zaś obiekt jego niepokoju.

Szklanka.

Odwrócona do góry dnem szklaneczka z jakiej często pija się mocniejsze trunki. Stojąca niczym pomnik upadłego alkoholizmu. Gregor wyciągnął broń i pośpiesznie zajrzał w każdy kąt pomieszczenia, za zasłony oraz do niewielkiej szafy dysząc przy tym jak oszalały. Nie było tam nikogo. Odprężył się nieco, choć nadal czuł ogromny, wewnętrzny niepokój. Nogi wręcz się pod nim ugięły. Usiadł. Oczy tego starca na dworcu. Ta sprawa. Teraz to. Czuł niemal fizyczny ból własnych wspomnień. Wspomnień, do których nie miał najmniejszej ochoty wracać, które dawno temu zakopał pod grubą warstwą czasu, zapomnienia i wódki. Niestety, niektóre echa pamięci są jak żywe trupy. Tylko czekają na sposobność, by wypełznąć na powierzchnię i wbić w ciebie swoje krzywe kły. Poczul, że musi się napić. Nie. Nie napić, lecz urznąć w trupa. Zalać mózg do nieprzytomności, utopić wszystkie dręczące myśli. Był tylko jeden problem. Gregor Ingram nigdy nie pił na służbie i dopóki nie znajdzie dziewczyny i jej matki, to oficjalnie na niej był. Ze stygnącym gniewem postawił szklankę tak, jak miała stać.

Po kilku minutach zorientował się, że wciąż trzyma w dłoni rewolwer. Zabezpieczył go więc i odłożył na kanapę. Wstał i na lekko roztrzęsionych nogach postanowił jeszcze raz, w spokoju, obejrzeć mieszkanie. Były tam tak naprawdę tylko dwa pomieszczenia. Jednym z nich była wyłożona linoleum łazienka z prysznicem i umywalką. Wymalowana beżową, brązową lamperią. Następnym pomieszczeniem był oczywiście główny pokój z szarą, rozkładaną kanapą, stolikiem do kawy i szafą. Ściany były ozdobione kilkoma drewnianymi ramami z upiętymi w nich bukietami suszonych kwiatów. Na szafce naprzeciw kanapy stał telewizor z wystającymi jak czułki antenami. w samej szafce zaś spoczywał lekko zakurzony odtwarzacz wideo w towarzystwie kilku starych, niepodpisanych kaset. Domyślał się, co na nich jest. Jedyne, doszczętnie zasłonięte okno wychodziło na pola znajdujące się za torami. Gdzieś w oddali, na tle mrocznego nieba migotały czerwone lampki sygnalizacyjne dźwigów. Gregor zamknął drzwi wejściowe na klucz, zgasił światło i położył się na kanapie. Zasnął niemal natychmiast. Snując sny przepełnione niepokojem i panicznym strachem.

Byli w nim ludzie uśmiechnięci, choć brudni. Śpiewali i wznosili toasty na wielkim bankiecie. Wszyscy ubrani odświętnie, wznosząc zakurzonymi dłońmi kielichy pełne szampana wprost ku jaśniejącemu tysiącom świateł sufitowi. Sunął pomiędzy nimi pozdrawiany i przyjmowany ze szczerą radością. Mówili mu *Myśleliśmy, że już nigdy tu nie dotrzesz inni Jak dobrze cię znów widzieć wśród nas*. Spojrzał na ich ubrania. Czarne, wilgotne smokingi, które zdawały się stapać z marmurową podłogą. Przez chwilę zastanawiał się jak to jest możliwe. *o Boże – pomyślał – to krew!* Wtedy ich sylwetki zaczęły się zacierać. Twarze topniały i rozpadały się brudząc podłogę mieszaniną posoki i mięsa. Oczy zamieniły się w puste, śmiejące się do niego otchłanie. Kielichy matowiały i pękały rozlewając wszędzie potoki szampana rozcieńczającego krew w pomarańczowe kałuże. Jego serce biło jak oszalałe pragnąc wyrwać się z piersi. Czuł, że kręci mu się w głowie. Nagle z tłumu wyszedł do niego żołnierz. w pełnym mundurze. Kulejąc. Podpierał się karabinem. Jego twarz całkowicie zasłaniał opatrunek pozostawiając tylko wąską szparę na jedno oko i usta. *Wracaj!* usłyszał Gregor nim spadł z kanapy.

Upadek był równie bolesny co zbawienny i choć przez chwilę jeszcze czuł, że trzęsie się ze strachu, to mimo wszystko nie był w stanie przypomnieć sobie co tak naprawdę go przeraziło. Wiedział tylko, że przyśnił mu się ktoś znajomy. Dźwignął się z ziemi, czując jak w jego głowie artyleria bólu zaczyna przypuszczać frontalny atak w kampanii porannego kaca. Usiadł na kanapie i przecierając raz po raz twarz dłońmi starał się odpędzić resztki snu i zamroczenia. *Trzeba brać się do roboty* – pomyślał.

Po krótkich przygotowaniach wyszedł na zewnątrz. Dochodziła godzina dziesiąta i niebo nie zdążyło jeszcze zasnuć się chmurami, które ciężką, ciemną armią czaiły się na południu. Odetchnął rześkim powietrzem i zauważywszy właściciela podszedł do niego.

- Dzień dobry. Panie, gdzie można tutaj coś zjeść? – spytał. Nie musiał udawać przygnębionego, ani strapionego tonu głosu. Rozsadzający ból wewnątrz czaszki robił to za niego o wiele lepiej. Musiał przeczekać tę batalię z własnym organizmem. Najlepiej posilony jakimś dobrym, tłustym śniadaniem.

- Blżej centrum może pan znaleźć wiele restauracji i knajpek. Może pan tam pojechać tramwajem – odpowiedział wyniosłym tonem targając do biura sporą torbę zakupów i gruby plik poczty. Gregor spojrział przez chwilę na listy, co podsunęło mu pewien pomysł.

- Jest coś dla mnie? – spytał głosem roztargnionym i nieobecny patrząc beznamiętnie na przyklejony do jednej z kopert znaczek z Himmlerem.

- a dał pan komuś swój *nowy adres*? – wzrok właściciela mówił sam za siebie, został właśnie utwierdzony po raz wtóry, że ma do czynienia z kompletnym idiotą i nieudacznikiem. Idealnie.

- Racja – burknął i z rękami w kieszeniach oddalił się w stronę głównej drogi. Uśmiechnął się do siebie gdy był już dostatecznie daleko, by mieć pewność, że właściciel go nie zauważy.

Miasto było pełne życia. Ludzie śpieszyli się goniąc za swoimi sprawami niczym charty puszczane w pogoń za zdobyczą. Szli samotnie, parami, niektórzy prowadząc na smyczy psy lub niewolników zapiętych w specjalne, ząbkowane kołnierze, które zaciskały się na szyi boleśnie raniąc za każdym razem, gdy dana osoba próbowała się wyrwać. Niektórzy bardziej butni szli ze skrępowanymi z tyłu rękoma. Często nie rozwiązywani całymi tygodniami. Półaryjski, dwunastoletni chłopak przeszedł obok niego prowadząc przed sobą nagą, czarnoskórą niewolnicę. Miała co najwyżej siedem lat. Szła przed nim dygocząc z zimna, skrępowana, w specjalnych szelkach zapinanych na cztery sprzączki na klatce piersiowej. Prawo zabraniało zakładania kołnierzy niewolnikom przed czternastym rokiem życia. Cóż za miłosierdzie ze strony rządu! Gregor poczuł jakby rewolwer sam odbezpieczał mu się pod połą płaszcza. Nienawidził tego kraju. Obraz upadku jakichkolwiek podstaw humanizmu dopełniał kolejny plakat polityczny przedstawiający miotłę i ciemną, ludzką sylwetkę podpisany hasłem *Sprzątaj po swoim niewolniku*. Przez chwilę przeszło mu przez myśl gdzie można by mimo wszystko dostać kilka lasek dynamitu. z uwielbieniem zobaczyłby jak kilka aryjskich tyłków idzie się *rozerwać*.

Niewielki dzwonek na szczycie tramwaju oznajmił jego przyjazd. Pomalowana na czerwono, stalowa konstrukcja z piskiem zatrzymała się przed tabliczką przystankową. Gregor w zamyśleniu ruszył do drzwi, gdy nagle przed jego czołem niemal znikąd pojawiła się otwarta w geście stopu dłoń. Gdy podniósł wzrok ujrzał krępego półaryjczyka w kolejarskiej czapeczce i grubym, wełnianym swetrze. Uśmiechnął się od niechcienia i postukał palcem w niewielką tabliczkę przyklejoną do okna obok drzwi. Był na niej rysunek oka z niebieską barwą, zaś poniżej podpis *tylko kategoria druga, bądź wyżej*. Ingram w pozdrawiającym geście uniósł swoją dłoń, po czym zmieszany cofnął się o kilka kroków. Po piętnastu minutach przyjechał kolejny tramwaj będący w nieco gorszym stanie od poprzedniego. Tym razem Gregor przezornie sprawdził tabliczkę upewniając się, że widnieje na niej obrazek przedstawiający ciemne oko i stosowny podpis. Większość okien wewnątrz tramwaju była obklejona wszędobylskimi plakatami. Niektóre się powtarzały, inne widział po raz pierwszy (*Dbaj o dziedzictwo kulturalne. Pal synagogi.* oraz *Trzy zasady Krwi – Twoja droga do szczęścia*). z zamontowanego nad fotelem kierowcy radia spikerka jedwabistym głosem zapowiadała najnowsze informacje. Krótka relacja z obchodów rocznicy, spadek ceny ogórków, epidemia grypy w południowo – wschodnich częściach Rzeszy oraz *bezpodstawne* protesty ludności przeciwko wydawaniu szczepionek tylko Aryjczykom. Nieudany atak *terrorystów* na placówkę firmy farmaceutycznej, w którym *te bezduszne bestie z zimną krwią zamordowały jedenastu pracujących tam Słowian*. Oczywiście nikt nie

skomentował tego, że praca w firmie farmaceutycznej była dla osób tej rasy niedostępna z obawy przed *niskimi kwalifikacjami ras niższych mogących prowadzić do znacznego upadku jakości usług świadczonych przez służbę zdrowia*. Więc tak. Akurat ni stąd ni zowąd firma produkująca leki postanowiła zatrudnić kilkunastu Słowian jawnie łamiąc przy tym rozporządzenie o służbie zdrowia z 1959 roku. Następnie, na tą placówkę, z oczywiście *nieznanych*, czy też *czysto barbarzyńskich* powodów, napadają *terroryści* złożeni zapewne głównie z ludzi kategorii trzeciej i czwartej, którzy nie robią nic, tylko mordują swoich rodaków. Trzyma się kupy, prawda?

Po kolejnych dwóch przystankach, okraszonych resztkami serwisu informacyjnego i muzyki patriotycznej zatwierdzonej przez *Urząd do spraw Cenzury Materiałów Medialnych Ras Niższych*, Ingram wysiadł upatrując wcześniej przez okno niewielką tawernę mieszczącą się w niskim parterze pewnego budynku. Wyraźnie odstawał on od zabytkowych kamienic stylem skleconej naprędce, betonowej kostki. Nad wejściem wisiała drewniana tabliczka, przypominająca trochę oderwany kawałek burty, na której drewniany marynarz siłował się z przypiętą do tabliczki, rzeczywistą kotwicą. Nazwa knajpy dawno się niestety zatarła.

Gdy tylko wszedł do środka poczuł oszałamiający zapach alkoholu unoszący się niczym plankton w morzu papierosowego dymu. Płynący wraz z nim cichy gwar wytwarzany przez nielicznych zgromadzonych bezrobotnych nie umilkł nawet na chwilę. Gregor poczuł się jakby był duchem. Za wypolerowaną do granic możliwości ladą stała siwiejąca kobieta podpierając głowę jedną ręką, w której notabene tkwił zapalony papieros ozdobiony grubym pióropuszem popiołu. Kobieta ta była chyba jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę z jego obecności spoglądając na niego leniwie sponad worków pod oczami, w których mogłaby wynosić węgiel z kopalni. Wyprostowała się gdy podszedł.

- Co ci chłapnąć synek? – mruknęła przez zachrypnięte gardło.

- Chciałbym coś na ząb i butelkę wody – na te słowa kobieta złapała się pod boki zabawnie podnosząc jedną brew.

- Synek, – odpowiedziała skrzecząc jak stara sroka – zamawiać tutaj wodę to jak przyjść do burdelu, żeby się przytulić – mówiła z lekkim, niemal beztroskim uśmiechem wyrobionym przez lata kokieterijnego wymuszania napiwków.

- Nalegałbym. Jednak mogłaby pani mi pomóc w zdobyciu pewnej informacji – zręcznie wyciągnął zdjęcia dziewczyny i jej matki, po czym dyskretnie podsunął kobiecie.

- Nigdy ich nie widziałam – odpowiedziała kręcąc nerwowo dogasającym petem.

- Może jednak sobie przypomnisz... - szepnął tym razem dyskretnie kładąc na ladzie stumarkowy banknot. Kobieta przez chwilę rzuciła na niego okiem, po czym strząsnęła na niego popiół.

- Zabierz to synek – odparła, delikatnie odsuwając jego rękę wraz z pieniędzmi. – Jak mówię, że nie widziałam, to nie widziałam. w tym mieście ginie dużo dzieciaków, a u mnie takie informacje są gratis.

- w jakim sensie *dużo dzieciaków ginie*? - spytał z wyraźnym zaciekawieniem.

- w zwyczajny. Wychodzą na ulicę, do szkoły czy do kolegi i już nie wracają. Rozpływają się w powietrzu, a policja nic z tym nie robi – usłyszał lekkie drżenie jej głosu. Patrzyła gdzieś w odległy kąt sali.

- Chłopiec czy dziewczyna? Kiedy i w jakim wieku? – spytał szybko, niemal ostro, starając się przewiercić ją wzrokiem.

- o co panu znowu chodzi?

- Po pani zachowaniu stwierdzam, że i pani kogoś straciła – odpowiedziała mu cisza. - Mógłbym pomóc.

- Jasne. Co pan jakiś cudotwórca jesteś? – odburknęła wciąż nie spoglądając w jego stronę. Po chwili z kieszeni spodni wyciągnęła lekko pomiętą, czarno-białą fotografię, na której dziewczynka o bujnych, jasnych, kręconych włoskach ujeżdżała wielkiego, pluszowego psa.

- To Kristine – odpowiedziała wzdychając ciężko. – Teraz miałyby szesnaście lat. Miała piękne, rude włoski i zielone oczy. Myślałam, że z takim wyglądem będzie jej lepiej w tym kraju, że los się do niej uśmiechnął. Jednak któregoś dnia... - głos na chwilę jej się załamał. - Przez kilka lat policja nie mogła jej znaleźć. Potem dali sobie spokój. To niestety jedyne zdjęcie jakie mam. To od niej zaczęły się zaginięcia dzieci. Teraz co roku ginie kilka dzieciaków.

- Czy te zaginięcia mają ze sobą coś wspólnego? w tak dużym mieście chyba zdarza się, że od czasu do czasu ktoś zaginie.

- Pewnie tak. Ale to zawsze są dzieci w wieku dziewięciu lat. Zawsze. Do tego za każdym razem giną w taki sposób, że nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Nie ma świadków, podejrzanych, śladów...

- Rozumiem – odparł. Kiedyś zapisywał wszystkie nawet najdrobniejsze tropy w podręcznym notesie. Jednak parę lat temu, niemalże na początku jego *kariery*, zgubił jeden z nich, niemal nie przyplacając tego życiem poszukiwanej osoby. Od tej pory wolał trzymać wszystkie informacje w jedynym miejscu, którego mu na pewno nie zapodzieje – w głowie.

- Czy dziewczynka miała jakieś znaki szczególne? – spytał, uważnie studiując jej twarz. Czuł się nieswojo wiedząc, że odświeżył cierpienie, z którym już nauczyła się żyć. Jednak skoro porwania dzieci w Allstein były na porządku dziennym, to może od tego powinien zacząć?

- Ma bliznę na szyi. Kiedyś bawiła się w ogródku i upadła na deskę z gwoździem. Cudem przeżyła. Od tamtej pory miała prostą bliznę biegnącą od środka brody w dół, po szyi – Gregor pokiwał głową.

- Rozejrzę się za nią – powiedział prostując się nagle, jakby wyrwany z płytkiej drzemki. – a teraz, mimo wszystko, chciałbym zrealizować swoje zamówienie. – Wyciągnął ponownie banknot. Ona zaś ponownie go odsunęła.

- Na koszt firmy. – Powiedziała z powracającym spokojem. – gdybym była młodsza mogłabym zaoferować ci *coś innego*, ale w takim wypadku dostajesz darmowe śniadanie. – Gregor uśmiechnął się przyjacielsko. Pół godziny później był już najedzony i obmyślał plan następnego posunięcia. w kieszeni jego płaszcza znalazło się kolejne zdjęcie.

Kiedy wyszedł jego oczy były zaczerwienione i piekły od dymu. Na zewnątrz chmury zdążyły przysłonić słońce tworząc na niebie jednolitą, szarą masę. *Idzie burza* – pomyślał Gregor patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą prześwitywał błękit. z chmur zaczął sypać się drobny, gradowy pyłek osadzając się na jego płaszczu i włosach. Po chwili trwania w bezruchu westchnął głęboko i skierował swoje kroki w dół ulicy. Tam, gdzie według zapisanego na kopercie adresu, znajdował się wspólny dom dziewczynki i jej matki. Mijało właśnie południe i tłum na ulicach znacznie się przerzedził. Nieliczne patrole policji zwykłej jak i politycznej sunęły spokojnie ulicami najezonymi przez zwisające z niemal każdego budynku kamery. Gregor zastanawiał się kto to wszystko ogląda i ile kilometrów taśmy muszą dziennie zużywać, by to wszystko nagrać.

Zwolnił kroku, gdy tylko skręcił w uliczkę, której nazwa była wypisana na kopercie. Zatrzymał się niemal dostrzegając budynek, który zapewne był tym właściwym. Zaczepił przechodzącego właśnie obok starszego pana, który pomimo tego, iż poruszał się o lasce, dziarskim krokiem wyprowadzał na spacer włochatego, szarego sznaucera. Zauważając Gregora staruszek uchylił kapelusza.

- Przepraszam, czy tamten budynek, to numer 42? – spytał, lekko się przy tym mrużąc i obnażając końcówki górnych zębów. Staruszek pokiwał głową z fachową miną machając przy tym ręką.

- Tak, proszę pana. Straszna sprawa. – Jego słowa dopełniały tylko ogólnego wyrazu rozpacz i tragedii, jaki sam budynek sobą przedstawiał. Niewielki, wąski, trzypiętrowy blok wзираł na ulicę pustymi, pozbawionymi szyb oknami nad którymi malowały się ciemnoszare, gęste smugi sadzy. Cały budynek opatulony był żółtą taśmą policyjną niczym szalem i sprawiał wrażenie, jakby tylko ona trzymała go w całości. Zapieczetowane drzwi zwisały smutno na jednym zawiasie wyłamane zapewne przez strażaków. Na podwórku wokół budynku leżały kawałki szkła i zwęglonych mebli.

- Kiedy to się stało? – spytał starając się zachować pozory zdziwienia. Tak naprawdę zdziwiłby się, gdyby zastał wszystko w idealnym stanie.

- a jakieś trzy dni temu. – odparł starszek po chwili wahania. - Cała kamienica się spaliła. w radio mówili, że to przez starą instalację elektryczną. Kilku osób nie udało się uratować – na te słowa Gregora przeszedł zimny dreszcz. Zastanawiał się, czy wśród tych osób nie było przypadkiem młodej kobiety i dziewczynki.

- Ktoś tam już wchodził? – spytał jak gdyby nigdy nic. Czuł, iż starszek uważnie mu się przygląda.

- Nie. Podobno nawet policja tam nie weszła żeby zwłoki pozabierać. Mówią, że zbyt duże ryzyko zaważenia. Mówią, że pojutrze ma przybyć ekipa, żeby cały budynek wyburzyć i wtedy dopiero mają ciała z gruzów powyciągać. a czemu pan tak pytasz? – tego pytania Ingram się obawiał. Jednak zawsze miał w zapasie odpowiednią dla danego słuchacza historyjkę.

- Ogłoszenie było – powiedział – w gazecie ktoś pisał, że ma do sprzedania tutaj mieszkanie. Dobrze, że nie kupowałem w ciemno, bo dałbym się nieźle wkopać.

- Racja proszę pana, ja też zawsze powtarzam, że wszystko trzeba zobaczyć na własne oczy – odparł dziadek poklepując go po ramieniu. Staruszek nie zapytał jednak w jakiej gazecie było owe ogłoszenie. Gregor odetchnął z ulgą.

- Pan wybaczy, ale muszę już iść, bo się piesek niecierpliwi. Dowidzenia panu – powiedział ponownie uchylając kapelusza.

- Do widzenia – odparł Gregor spoglądając na psa, który pomimo swojego *zniecierpliwienia* grzecznie siedział na chodniku leniwie zamiatając go ogonem. Gregor lekko zawiedziony zawrócił się w stronę motelu. Wróci kiedy zapadnie zmrok.

Na ulicach Allstein zaczynała się trzecia zmiana. Tak przynajmniej wielu określało czas kiedy pracę kończyli robotnicy i służbiści, zaś zaczynały ją prostytutki wyciągając swoimi *ofertami* ciężko zarobione pieniądze. z aryjskiej części miasta dochodziło przytłumione dudnienie odbywającego się tam koncertu, błędzące pomiędzy zacienionymi uliczkami. Przez tą smętną scenerię przemykał smukły mężczyzna w czarnym płaszczu, z wysoko postawionym kołnierzem. Szedł szybko, pewnie, poprzez całun z płatków pierwszego, tegorocznego śniegu. w lewej dłoni ścisnął niewielką walizkę, z której przed godziną wyrzucił wszystkie ubrania zostawiając w niej tylko stary sweter i niezbędne przybory. Półtorej godziny wcześniej wymknął się z motelu, starając się pozostać przez nikogo nie zauważonym. Idąc bocznymi uliczkami tak, by jak najczęściej unikać wszędobylskich oczu kamer. Gregor Ingram zaplanował dziś pracowitą noc.

Gdy dotarł do spalonego budynku odkrył z zadowoleniem, że teren wokół niego jest pusty jak cmentarz w Nowy Rok. Dla nekrofilii za zimno, a reszta bawi się w weselszych miejscach. Przeszedł na tyły budynku nawet nie zwracając uwagi na frontowe drzwi. Odprężył się nieco dopiero, kiedy znalazł się w zacienionej alejce rozciągającej się między blokiem, a przylegającą do niego fabryką farb. Pomyślał przez chwilę, że to dziwne, że budynek wypełniony materiałami łatwopalnymi nie ucierpiał stojąc dwa metry od pożaru, który strawił niemal całą kamienicę. Gregor rozejrzał się dyskretnie dookoła stając przy najbliższym wybitym oknie. Gdy upewnił się, że nie ma nikogo w pobliżu delikatnie przestawił walizkę za okno, po czym sam przez nie przeszedł. Opadł lekko na zakurzoną podłogę wewnątrz budynku. Przez chwilę stał w bezruchu nasłuchując i przyzwyczajając wzrok do wszędobylskiej ciemności. Otworzył walizkę i po omacku wyciągnął z niej metalowe pudełko, z niego zaś małą, poręczną latarkę. Ustawił ją na najśłabsze światło i oświetlając tylko fragment podłogi przed sobą przeszedł nisko pochylony do głównej klatki schodowej ciągnąc za sobą walizkę. Przypominał garbatego sługę szalonego naukowca, który z lampą naftową w ręku prowadził nowo przybyłe, niczego nieświadome ofiary na pokoje. Tylko nie kulał i nie wykrzywiał twarzy w dziwnych grymasach.

W całym budynku unosił się zapach spalenizny i mógłby przysiąc, że miejscami widział strużki dymu unoszące się z kątów pomieszczeń. Do woni zwietrzałego nieco dymu i spalonych przedmiotów codziennego użytku dochodził jeszcze jeden, bardzo wyraźny *aromat*. Gregorowi zdawało się, że śmierdziało tu spaloną pieczeńią. Ściany były tak osmalone, że czuł się jak górnik chodzący po korytarzach kopalni. Do schodów głównej klatki schodowej dotarł bez problemów. Fundamenty domu i podłoga parteru były wylane z betonu, więc czuł się w miarę bezpieczny. Niestety zgodnie z adresem na kartce mieszkanie, którego szukał było na drugim piętrze.

Stanął na pierwszym stopniu drewnianych schodów, który stęknął niczym przydepnięty starzec. Szedł powoli, spokojnie przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą. Za każdym razem stawiając przed sobą walizkę, badając nią stopnie niczym przewodnik sprawdzający kijem grunt na trzęsawiskach. Ze stopni sypał się popiół unosząc się w górę niczym płatki czarnego śniegu. Czuł jak serce podchodzi mu do gardła z każdym skrzypnięciem, stukotem i odpadającym kawałkiem zwęglonego drewna. Przez około dziesięć minut posuwał się do góry tym ślimaczym tempem nim dotarł na drugie piętro. Przeszło mu przez myśl, że bezpieczniej i szybciej by było, gdyby postawił pod oknem katapultę i próbował przy jej pomocy *wstrzelić się* pod właściwy adres.

Drugie piętro budynku było w nieco lepszym stanie. Na ścianach nadal znajdowała się tapeta. Miejscami można było nawet zobaczyć prześwitujący między zwęglonymi resztkami kwiecisty wzór. Drzwi znajdujące się po prawej stronie, przy schodach opatrzone były niewielką, metalową tabliczką. Gregor przetarł ją z sadzy i odczytał *S. I. Floriańscy*. Bingo, można by rzec. Numer na drzwiach zgadzał się też z tym, który miał zapisany na kopercie. Niestety drzwi były zamknięte na głucho.

Ostrożnie położył walizkę na opalonym i częściowo roztopionym linoleum okrywającym drewniany korytarz. Następnie, trzymając latarkę w zębach, wyciągnął z niej niewielki śrubokręt i dwa zaostrome szpikulce z nasadami, które zwykł nazywać *naparstkami*. Westchnął cicho, po czym podciągnął prawy rękaw płaszcza. Nałożył naparstki na wskazujący i środkowy palec mechanicznej ręki. Śrubokręt zaś wsunął w niewielki otwór w dłoni znajdujący się tuż nad spoiwem trzymającym jego sztuczną dłoń wraz z resztą jego naturalnego cielska. Sztuczki tej nauczył się dawno temu, kiedy to po raz pierwszy odkrył, że jego dłoń jest źle wyregulowana. Można by rzec, że próbował ją wtedy naprawić *na własną rękę*. Oczywiście nie udało mu się, jednak dowiedział się kilku ciekawych rzeczy. Wsunął dwa szpikulce w szczelinę między spaloną framugą, a drzwiami, po czym delikatnie pokręcił śrubokrętem. Mechanizm stabilizujący siłę ucisku puścił całkowicie sprawiając, że jego palce gwałtownie rozchyliły się z całą mocą, jaką im fabryka dała. Spod obudowy ręki sypnęło kilka niepokojących iskier, zaś na podłogę wypadła wyrwana z zamka zapadka wraz z dużym fragmentem framugi. Szybki, choć niezbyt elegancki sposób wpraszania się do czyjegoś domu. Gregor dokręcił ponownie stabilizator i poruszył palcami zauważając, że pomimo chwili grozy mechanizm zdawał się działać bez zarzutu. Przynajmniej na tyle bez zarzutu, na ile było go stać. Naparstki i śrubokręt wylądowały z powrotem w walizce, Ingram zaś delikatnie uchylił drzwi sięgając przy tym do kabury rewolweru.

Mieszkanie zapewne niegdyś było pięknym, spokojnym, rodzinnym gniazdkiem. Teraz jednak stanowiło prawdziwe pobojuwisko. Oczernione i w dużej mierze zwęglone meble były poprzewracane jakby przez cały pokój przeszło ogniste tornado. Okna powybijane tak jak i w całym budynku. Szkło leżało niemal wszędzie. Obrazy na ścianach zamieniły się w trudne do rozpoznania prostokątne, smoliste figury odstające nieznacznie od doszczętnie spalonych ścian. Drzwi wejściowe były od wewnątrz niemal całkowicie zwęglone i sprawiały wrażenie, że wystarczyłoby mocniej zapukać, by najzwyczajniej w świecie wpadły do środka.

Przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Tutaj znany mu z dolnych pięter smród spalenizny stawał się nie do wytrzymania. Dochodził do niego jeszcze jeden, ledwie uchwytny zapach, którego mimo wszystko nie potrafił zidentyfikować.

Nagle cofnął się o krok.

Pod jedną ze ścian, na której wisiał zwęglony krzyż, stało zapadnięte łóżko. Na nim zaś coś, co wcześniej uznał za zwinięty koc. Koce jednak, przynajmniej te, które widział, zwykle nie mają zębów. Podeszedł bliżej zasłaniając usta dłonią, w której trzymał rewolwer. *Będzie na to jeszcze czas* – pomyślał. Zaniepokojony i roztrzęsiony zajrzał do każdego z pozostałych pomieszczeń. Obszerna kuchnia i nieco mniejsza łazienka jednak nie kryły żadnych wskazówek, napastników, ani ciekawostek. Jeśli nie liczyć sprowadzanej ze wschodu pralki, która, tak jak każdy towar pochodzący zza granicy, była niemal nie do dostania. Gregor z pewną ulgą stwierdził, że w całym domu nie było też więcej ciał. W szczególności brakowało ciała pewnej dziewczynki. Nieco rozluźniony schował broń z powrotem do kabury i rękawem otarł wilgotne od zimnego potu czoło. Wrócił do pokoju ze spalonymi szczątkami jednak podeszedł bliżej dopiero po chwili, kiedy poczuł się nieco pewniej.

Chrup!

Zamarł pewny, że jedna z desek pod jego stopami zaczęła się niebezpiecznie kruszyć. Cofnął stopę przyświecając latarką w miejsce, skąd dobiegał dźwięk. Szyjka od butelki. Najwyraźniej osłabione pożarem szkło pękło pod naciskiem czubka buta. Przyklęknął i podniósł ją w dwóch palcach na wysokość własnego nosa. Nie wyglądała na fragment butelki po jakimkolwiek alkoholu, a w dziedzinie trunków wysokowych czuł się akurat ekspertem. Powąchał ją i pomimo wszędobylskiego, gryzącego zapachu spalonego drewna był pewien, że poczuł rozpuszczalnik. *Stara instalacja elektryczna...* - powtórzył w myślach słowa poznanej dzisiaj staruszka, po czym fachowym ruchem otworzył walizkę. Nonszalancko wyrzucił szyjkę przez ramię i ponownie włożył latarkę do ust.

Po kilku głębszych wdechach i chwili zastanowienia wyciągnął z walizki gumową rękawiczkę. Kilka osób już go pytało dlaczego wozi ze sobą tylko jedną. Zawsze odpowiadał z uśmiechem, że niezwykle trudno jest dostać zakażenia sztucznej ręki. Poza tym zawsze oględzin dokonywał czującą dłonią. Czasem można było wyczuć to, czego nie zauważyło oko. Gregor przystąpił do najmniej ulubionej części swojej pracy.

Ciało miało rozległe poparzenia trzeciego stopnia na całej powierzchni. Nie wyłączając twarzy i podeszew stóp. Ręce złożone były razem, cała postać ułożona w pozycji embrionalnej. Jej wargi zostały podwinięte przez żar, jednak mięśnie twarzy nie zdradzały żadnych oznak tego, żeby ofiara krzyczała, czy wiała się z bólu. Pobieżny rzut oka na jej sylwetkę utwierdził go w przekonaniu, że leżą przed nim szczątki kobiety, albo mężczyzny o szerokich biodrach, po kastracji i przeszczepie piersi. Trzymając się jednak ustalonych kanonów piękna uznał, że ma przed sobą kobietę. Wyglądała, jakby spała, dłonie niewinnie złożone na poduszce obok głowy, podwinięte stopy pod resztkami koca. Była średniego wzrostu, zaś kompletne uzębienie sugerowało, że zmarła w dość młodym wieku biorąc pod uwagę stan służby zdrowia i fakt, że często ludzie niewiele starsi od Gregora byli już skazani na jedzenie wyłącznie papek i przecierów. Po dokładniejszych oględzinach skóry zauważył, że nie było na niej śladów ubrań. Nie znalazł też w pobliżu żadnych sprzączek, suwaków czy guzików, co mogłoby sugerować, że była naga, lub miała na sobie bardzo zwiewne ubranie, które błyskawicznie spłonęło.

Przerwał na chwile i wyprostował się. Choć podczas wojny oglądał takie *obrazki* niemal codziennie, to jednak nigdy do nich nie przywykł. Nie był pewny, czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach mógłby przechodzić obojętnie obok takich widoków i nie budzić się potem z wrzaskiem. Spojrzał na ciało ponownie i poczuł jak jego żołądek wykonuje nieśmiałe salto wzburzając wszystko, co dzisiaj zjadł. Nie jednak odwrócił wzroku. Bardziej od gastrycznej rewolucji zainteresowało go coś, co jeszcze przed chwilą przeoczył. Bransoletki. a raczej coś, co na nie wyglądało. Delikatnie ujął jeden ze spalonych nadgarstków i uniósł do góry. Drugi natychmiast za nim podążył. Ręce tej kobiety były mocno związane sznurkiem, który najwyraźniej na przekór oprawcom, nie raczył doszczętnie spłonąć w pożarze. Lekko ujął jeden z palców dłoni, ten natomiast natychmiast rozpadł się na kilka kawałków rozsypując po łóżku śnieżnobiałe fragmenty kości. Gregor poderwał się na równe nogi, po czym ponownie pochylił i wiedziony instynktem zaczął przesuwac dłonią po opalanej czaszce ofiary. Znalazł. Na potylicy, bardzo blisko ciemienia znajdowało się wgłębienie, które delikatnie się pogłębiło pod naciskiem jego palców. Poczuł, jak wiedza oświeca jego umysł niczym potężny, przemysłowy reflektor.

Kobieta ta najprawdopodobniej była przetrzymywana przez którąś rządową organizację, której nazwę można ładnie zapisać w kilku literkach. Jedną z tych *pilnujących prawa i porządku* – wolne żarty. Wygląda na to, że kobieta posiadała informacje dla rządu bardzo istotne, gdyż zmiażdżone palce świadczyły o bardzo wysublimowanym i szczegółowym przesłuchaniu. Nie wiedział na razie czego chcieli, ani czy zaczęła z nimi współpracować. Jednak w końcu przestała im być potrzebna, więc postanowili jej się pozbyć. Mieli zbyt duże doświadczenie w zadawaniu tortur żeby rana na głowie była dziełem przypadku. Meble. Przewrócone i wybebeszone. Więc prawdopodobnie nie dowiedzieli się wszystkiego, albo kobieta naprawdę nic nie wiedziała. Dlatego przyszli tutaj, przeszukali mieszkanie. Może jeszcze przez kilka minut ją przesłuchiwali. Na końcu zabili ją. Zastanawiał się tylko dlaczego zwłoki pozostawili w tak widocznym miejscu. Czemu nie ukryli jej gdzieś w lesie mówiąc innym, że wyjechała do rodziny, czy też najzwyczajniej nie dopisali jej beztrąsko do listy osób zaginionych? Gregor zamknął walizkę i przysiadł na niej patrząc w skupieniu na spalone obicie łóżka. Mechaniczną ręką pocierał kozią bródkę nieopatrznie wrywając z niej kilka włosów.